

Rodzicielstwo ma dwa oblicza. Pierwsze jest takie, jak w opowieściach znajomych i w zdjęciach na przekątnych światła: śmiech, nowe słowa, miękkie policzki, drobne zwycięstwa dnia. Drugie oblicze przychodzi bez zaproszenia. Nie zawsze jest romantyczne, nie zawsze jest wdzięczne, bywa chaotyczne i męczące, czasem też zwyczajnie brzydkie w sensie emocjonalnym: złość, płacz, poczucie porażki, cisza po kłótni.

Kiedy ktoś mówi „nie zawsze jest pięknie”, zwykle ma na myśli uspokojenie tych, którzy jeszcze nie zdecydowali albo już żałują. Ja mam na myśli coś innego. Chcę nazwać rzeczy, które są prawdą w większości domów, tylko rzadko trafiają do rozmów przy kawie, bo brzmią jak wstyd. I chcę dodać drugie zdanie, równie trudne: mimo tych niedoskonałości nadal wybrałabym rodzicielstwo. Nie dlatego, że wszystko byłoby łatwe, tylko dlatego, że z czasem nauczyłam się rozpoznawać sens w rzeczach, które wcześniej wydawały się bez sensu.

Czas, który zabiera, i czas, który oddaje

Najmocniej zapamiętałam nie same noce bez snu, ale to, jak szybko zmienia się rytm życia. Jednego dnia planowanie dotyczy pracy, spotkań i spraw „na dziś”. Potem pojawia się dziecko i nagle wszystko zaczyna kręcić się wokół biologii. Godziny karmienia, drzemki, skoki wzrostu, infekcje, ząbkowanie, poranny płacz, który nie pasuje do żadnego harmonogramu.

W pierwszych miesiącach bywałam zmęczona fizycznie i psychicznie jednocześnie, co jest gorsze niż zwykłe zmęczenie. To nie jest tylko kwestia braku snu. To także poczucie, że twoje ciało i głowa są na zmianę zajęte czymś, co wymaga ciągłej uwagi, a ty nie dostajesz za to jasnej nagrody w postaci „zrobiłaś to dobrze”. Dziecko nie daje ocen. Daje sygnały. A sygnałów jest mnóstwo, i to one decydują o twoim dniu.

Jednak z biegiem czasu oddaje też coś, czego wcześniej nie potrafiłam nazwać. Nie chodzi o to, że „dziecko daje sens”. Dla mnie bardziej realne było doświadczenie zmiany priorytetów. Przestałam gonić za drobną sprawnością, która wcale nie chroni przed rozczarowaniem. Zaczęłam doceniać obecność i cierpliwość. W praktyce oznacza to mniej pośpiechu w codziennych decyzjach i większą umiejętność dopasowania oczekiwań do realiów.

Kiedy ktoś mówi, że rodzicielstwo zmienia człowieka, brzmi to jak poradnik. A u mnie wyglądało bardziej jak korekta kursu. Czasem bolesna, bo trzeba było odpuścić „ja bym się tak nie zachowała” i sprawdzić, co się dzieje, kiedy jesteś zmęczona naprawdę. Co robi wtedy twoja złość? Jak reaguje twoja cierpliwość? Czy potrafisz przeprosić? Czy umiesz przetrwać gorsze emocje bez robienia z nich dramatu?

Bycie mamą, bycie osobą, bycie partnerką

Jednym z największych mitów, które mnie kiedyś irytowały, jest założenie, że rodzicielstwo to prosta droga od „ja” do „nas”. W rzeczywistości to ciągłe negocjacje tożsamości.

Kiedy pojawia się dziecko, łatwo stracić kontakt z własnym rytmem. Trudniej też utrzymać relacje dorosłe. Wydaje się, że partnerstwo powinno „automatycznie” przejść w tryb współrodzicielski, a tymczasem często dochodzi do cichych napięć. Jedna osoba jest bardziej zorganizowana, druga ma naturalny talent do improwizacji. Jedna chce ustalać zasady, druga żyje dzień po dniu. I w pewnym momencie te różnice przestają być ciekawostką, a stają się paliwem do kłótni.

Nie wszystko rozwiązuje rozmowa. Bywa, że rozmowa dopiero naświetla problem, ale nie daje ulgi. Na początku myślałam, że problemem jest brak wspólnych ustaleń. Z czasem zobaczyłam, że pod ustaleniami stoi coś głębszego: poczucie bycia widzianą. Kiedy mam dziecko i czuję, że moje wysiłki znikają z pola widzenia, robię się

krucha emocjonalnie. Kiedy czuję, że druga strona rozumie, ile kosztuje mnie stałe „ogarnianie”, moja cierpliwość wraca szybciej.

Wiele konfliktów nie zaczyna się od wielkich spraw. Zaczynają się od „drobiazgów”, które w sumie stają się ciężarem. Kto ma przygotować rzeczy na wyjście. Kto pamięta o pieluchach. Kto ogarnia szczepienia i terminy. Kto wreszcie bierze na siebie wieczór, gdy drugi rodzic ma już dość.

U nas ratowało momenty, w których przestawałam udawać, że wszystko jest pod kontrolą. Czasem to było przyznanie wprost: „Dzisiaj nie mam zasobów”. I wtedy nagle druga strona przestawała interpretować moje słowa jako roszczenie, a zaczynała je traktować jako informację.

Najtrudniejsze: emocje, których nie da się „wyłączyć”

Kiedy słyszy się o rodzicielstwie, dużo mówi się o logistyce. O tym, co kupić, jak przygotować dom, jak ustawić sen. Logistyka jest ważna. Ale to emocje okazały się bardziej wymagające.

Złość pojawia się szybciej, niż bym się spodziewała. Nie dlatego, że jestem „złą mamą”. Raczej dlatego, że ciało jest w trybie alarmu. Dziecko płacze i nie wiesz dlaczego, więc twoja głowa zaczyna skanować: głód, ból, przegrzanie, zimno, mokro, skok rozwojowy, infekcja. Nawet kiedy wiesz, że to mogą być „zwykłe” rzeczy, stres zostaje.

Do tego dochodzi poczucie winy. Ono jest najbardziej upierdliwe, bo potrafi wyglądać jak troska. W mojej wersji przyjmowało formę myśli: „Powinnaś była przewidzieć”. Albo: „Gdybyś lepiej planowała, nie byłoby tak źle”. A potem <https://prawdziwy-sukces.pl/ksiazka/czy-warto-bylo-cierpiec-az-tak-katarzyna-sejna/> przychodzi wieczór, dziecko zasypia, a ty rozważasz w głowie warianty jak w analizie błędów z projektu.

Zdarzały się momenty, kiedy mówiłam do siebie: „Jestem za mało dobra”. Dopiero z czasem zrozumiałam, że to nie jest konstruktywna autoocena. To jest mechanizm podtrzymujący lęk. W takich chwilach pomagało mi przesunięcie ciężaru z oceny siebie na ocenę sytuacji. Zamiast „zepsułam wszystko”, próbowałam powiedzieć: „Dziś było za dużo bodźców i nie mamy jeszcze narzędzi, żeby to przejść miękko”. Różnica jest ogromna. Pierwsza wersja zamyka, druga daje miejsce na działanie.

Przykład zwyczajnego dnia, który nie wygląda dobrze na Instagramie

Pamiętam jeden dzień, który był niczym szczególnym, a jednak do dziś mam w głowie jego ciężar. Dziecko wstało wcześniej niż zwykle. Było marudne, nie chciało zasnąć w trybie, który jeszcze wczoraj działał. Ja byłam już po kilku nieudanych próbach wyjścia na krótki spacer, bo „powietrze powinno pomóc”. Nie pomogło. Wręcz pogorszyło sprawę, bo na zewnątrz zrobiło się za zimno i nie dało się utrzymać komfortu.

Wracając do domu, czułam rosnące napięcie w karku. W środku były już zalegające sprawy, pranie, posiłki, butelki, drobne przygotowania do wieczoru. Zderzenie „wciąż trzeba” z „nie mam siły” jest najbardziej frustrujące.

Co wtedy? W tamtym dniu nie uratowały mnie żadne mądre porady. Uratowało mnie rozpoznanie, że zmierzam do punktu krytycznego, i potrzebuję minimalnego planu awaryjnego. Nie pełnego ogarniania domu, tylko przejścia przez kolejne godziny.

Moja awaryjna zasada na tamten moment była prosta, nieheroiczna: pogodzić się z tym, że „nie będę dziś efektywna”. Zrobiłam tylko to, co konieczne, reszta została na jutro. Dziecko w końcu zasnęło, ja wzięłam prysznic i przez kilka minut byłam poza rolą „obsługi”. Potem wróciłam do obowiązków spokojniej.

Tego typu dni nie są wyjątkiem. Są normalnością. I dopiero gdy przestajesz udawać, że każdy dzień ma być pożądanym, przestajesz też samą siebie karać za to, że jesteś człowiekiem.

Dlaczego mimo trudności nadal bym wybrała rodzicielstwo

To pytanie często pada w rozmowach szeptem, bo brzmi jak pytanie o sens. Ja odpowiadam tak: bo te trudności uczą mnie, jak żyć inaczej. Nie mówię, że to jest dobre dla wszystkich w identyczny sposób. Rodzicielstwo jest decyzją. Każda decyzja kosztuje. U mnie koszt był realny, ale z czasem pojawiły się też wypłaty w postaci więzi, umiejętności i relacyjnej dojrzałości.

Po pierwsze, jest relacja, która rozwija się mimo nieidealnych warunków. Dziecko nie jest projektem. Nie zawsze jest „ładnie”, czasem jest upierdliwe, czasem trudno je czytać, czasem reaguje z opóźnieniem. A jednak, gdy w końcu widzisz, że rozumie twoje emocje, to jest coś bardzo głębokiego. Nie chodzi o to, że ono „zaspokaja twoje potrzeby”. Chodzi o to, że buduje się wspólna przestrzeń, w której uczysz się komunikować.

Po drugie, pojawia się odpowiedzialność, która działa w obie strony. Dziecko zmusza do refleksji, ale nie w formie moralizowania. W praktyce zaczynasz myśleć o tym, jak mówisz. Czy krzyczysz, gdy jesteś przeciążona. Czy umiesz zatrzymać się, zanim wypowiesz coś raniącego. Uczy też pokory. Najpierw jesteś pewna, potem życie pokazuje, że nie ma pewności.

Po trzecie, jest radość, która ma smak „po przetrwaniu”. Nie chodzi o to, że każde osiągnięcie jest euforyczne. Czasem radość jest mała, jak ten moment, gdy dziecko wraca do spokoju po twojej spokojnej reakcji. Albo gdy samodzielnie coś zrobi, choć ty jeszcze wczoraj miałaś w głowie myśl „niech ktoś to ogarnie za mnie”. Ta satysfakcja jest inna niż w pracy. Ma mniej blasku, ale więcej stabilności.

I po czwarte, jest sens, który nie zawsze jest dramatyczny. Sens w praktyce to codzienność: wspólne zabawy, codzienne rytuały, patrzeć, jak zmienia się charakter, jak wchodzi w świat i testuje granice. To nie musi być piękne w sensie estetycznym. Dla mnie jest ważne, bo jest żywe.

Cena, której nie widać na początku, a która wraca w kolejnych latach

Rodzicielstwo nie kończy się na pierwszym roku. A nawet jeśli pewne fazy miną, to inne przejmują pałeczkę. W pewnym wieku zaczyna się walka o niezależność, testowanie „nie”, spór o to, co jest wolno, a co nie. Pojawiają się rozmowy, w których dziecko nie akceptuje twojego „bo tak”. Trzeba tłumaczyć, czasem sto razy, i nie zawsze w tym samym tonie.

To jest kolejny powód, dla którego nie da się mówić o rodzicielstwie jak o jednorazowym wydarzeniu. To proces. I proces ma swoje etapy trudności. Jedno pokolenie wierzy, że wystarczy przejść przez „niemoc niemowlęcia”. Kolejne dostaje w pakiecie wyzwania związane z emocjami w przedszkolu, potem z relacjami w szkole, potem z dojrzewaniem.

U nas najtrudniejsze bywa to, że dziecko rośnie, a twoje obowiązki emocjonalne rosną razem z nim. Umiejętność regulacji emocji rodzica staje się mniej „nice to have”, a bardziej narzędziem codziennego życia. I znowu, to nie jest poradnik. To po prostu fakt: jeśli nie ogarniasz własnego napięcia, dziecko będzie je podbierać.

Jak wygląda rozsądne podejście do planowania i granic

Wbrew pozorom można wybierać rodzicielstwo i jednocześnie dbać o siebie. Ja dopiero po czasie przestałam traktować regenerację jako luksus. Zrozumiałam, że jeśli nie dbam o swoje zasoby, to „rodzenie” staje się przeżywaniem, a nie wychowaniem.

Największa zmiana nastąpiła, gdy zaczęłam traktować granice jako część rodzicielstwa, a nie jako egoizm. Granica to nie tylko „nie”. To też „dzisiaj potrzebuję przerwy”, „teraz nie dam rady długiej rozmowy”, „w tym czasie nie jestem w stanie być idealnie spokojna”.

Oto krótka lista, która u mnie działa w praktyce, gdy sytuacja robi się przeciążona. To nie jest instrukcja dla wszystkich, raczej przypomnienie o priorytetach, gdy emocje biorą górę:

- Najpierw bezpieczeństwo i podstawy, jedzenie, sen, higiena, potem dopiero reszta.
- Zamiast walczyć z całym dniem, próbuję przejść przez najbliższe dwie godziny.
- Przestaję zakładać, że moje „powinno” jest ważniejsze niż rzeczywistość dziecka.
- Gdy rosną emocje, szukam wsparcia lub robię przerwę na regulację.
- Rozmawiam z partnerem o tym, co realnie działa, nie o tym, co „powinno”.

To brzmi banalnie, ale banalność bywa ratunkiem. W chaosie mózg lubi proste zasady. Trudne jest trzymanie się ich wtedy, kiedy czujesz presję, że „powinnaś już umieć”.

Wspieranie rodzicielstwa wsparciem, a nie jedynie siłą woli

Siła woli jest kosztowna. Wyczerpuje szybciej, niż się wydaje, bo uruchamia ciągłą walkę z własnym stanem. Kiedy zaczęłam lepiej dobrać wsparcie, rodzicielstwo przestało być jedną długą próbą bycia dzielną.

U mnie wsparcie ma kilka kształtów. Zdarzają się dni, gdy wystarczy, że ktoś przyjdzie na godzinę, a ja mogę wyjść z domu. Czasem to jest forma organizacyjna, na przykład ogarnięcie zakupów, gdy w głowie mam tylko „niech minie”. Innym razem to rozmowa, w której ktoś nie daje rad, tylko potwierdza, że to, co przeżywam, ma sens.

Najmniej pomagał mi teoretyczny dyskurs o tym, „jak powinno się”. Dla rodzica liczy się to, czy druga osoba rozumie, co robi w danej chwili. Czy potrafi wziąć na siebie konkret. Czy potrafi zamienić niepokój w działanie.

Jeśli miałabym wskazać jedną rzecz, która uratowała mi najwięcej, to był regularny kontakt z kimś, kto widzi mnie nie tylko jako „rodzica”, ale jako osobę. W chwilach przeciążenia łatwo wpaść w myślenie „jestem tylko rolą”. A wtedy nawet drobna porażka urasta do katastrofy tożsamościowej.

Kwestie, o których się nie mówi, a które realnie zmieniają decyzje

W środowisku rodzicielskim czasem brakuje miejsca na uczciwość. Ludzie pytają, czy warto. Prawie nigdy nie pytają, ile naprawdę kosztuje. A pytanie o koszt nie musi prowadzić do negacji. Może prowadzić do odpowiedzialności.



Są też granice, które można obejść praktyką, ale nie da się ich wymazać. Jeśli w rodzinie jest mało wsparcia, jeśli praca i opieka się gryzą, jeśli zdrowie psychiczne albo fizyczne ma swoje ograniczenia, rodzicielstwo będzie

trudniejsze. Trudniejsze nie znaczy złe. To znaczy wymagające.

Zdarzały mi się myśli, że „gdyby dało się cofnąć czas, byłabym bardziej przygotowana”. Tyle że przygotowanie nie usuwa wszystkich niewiadomych. Możesz znać książki, możesz znać techniki, możesz mieć plan na sen i karmienie, a i tak przyjdzie dzień, w którym dziecko jest chore, ty jesteś na granicy wytrzymałości, a świat nie robi miejsca na twoje strategie.

Wtedy wchodzi coś, co nie jest podręcznikiem. To jest adaptacja. Elastyczność. Umiejętność przyznania: „Dziś nie będzie wersji idealnej, będzie wersja możliwa”.

Czy żałuję? Tak i nie

Gdybym miała odpowiedzieć w jednym zdaniu, brzmi ono: nie żałuję decyzji o rodzicielstwie, ale żałuję kilku rzeczy, które zrobiłam ze zbyt dużym napięciem.

Żałuję momentów, w których byłam zbyt surowa wobec siebie. Żałuję rozmów, które mogły być spokojniejsze. Żałuję, że czasem zbyt długo trzymałam się oczekiwań, że „muszę dawać radę sama”. I żałuję, że nie prosiłam o pomoc wcześniej, w tej fazie, kiedy pomoc jest łatwiejsza do zaakceptowania.

Ale jednocześnie, gdy patrzę na całość, nie czuję żalu w sensie „złe wybrałam”. Cenię relację z dzieckiem. Cenię to, jak wzięło mnie w swoje życie i zmieniło moje rozumienie cierpliwości. Cenię także to, że nauczyłam się dbać o siebie lepiej. W pewnym momencie rodzicielstwo przestało być tylko próbą przetrwania. Zaczęło być codziennym treningiem człowieczeństwa.

Co bym zrobiła inaczej, gdybym zaczynała od nowa

Nie lubię udawać, że wszystko byłoby idealne, gdybym miała „drugi raz”. Bo drugi raz też ma swoje nieprzewidywalne dni. Ale mam kilka rzeczy, które zrobiłabym inaczej.

Najpierw bardziej realistycznie podeszłabym do pierwszych miesięcy. Mniej nastawienia „szybko się ułoży”, więcej planu na wsparcie i na to, jak będziemy przeżywać najtrudniejsze tygodnie. Po drugie, szybciej przestałabym porównywać się do innych. Porównywanie jest jak mielenie ziarna na drobny pył, nie daje chleba, a zostawia pył w płucach.

Po trzecie, zadbałabym o to, żeby partnerstwo nie spływało do roli „kto dziś mniej marudzi”. Chodzi o to, żeby tworzyć wspólny język, w którym można mówić o trudnych rzeczach bez atakowania. A po czwarte, wcześniej nauczyłabym się prosić o przerwy, nie dopiero wtedy, gdy jestem już w trybie krytycznym.

To są rzeczy praktyczne, ale też psychologiczne. Gdy lepiej przygotujesz grunt emocjonalny, łatwiej przetrwać burzę.

Piękno, które przychodzi falami

Nie wierzę w rodzicielstwo jako ciągłe pasmo cudów. Dla mnie prawdziwe piękno w tej historii nie jest stałe. Przychodzi falami. Raz jest w uścisku po płaczu, raz w tym, że dziecko spokojnie pozwala założyć ubranie, a raz w śmiechu, który wybucha w najgorszym momencie dnia i nagle porządek wraca do środka.



Czasem piękno wygląda jak zwyczajność. Jak wspólne jedzenie przy stole, gdy nie trzeba już walczyć o każdy kęs. Jak moment, w którym dziecko opowiada, co się stało w przedszkolu, i widzisz, że świat przestaje być tylko tym, co cię potrzebuje. Staje się czymś, co dziecko chce dzielić z tobą.

To piękno nie usuwa trudności. Ono je przykrywa na moment. A potem trudności znowu wracają, i znów trzeba je nazwać. I znów wybrać, jak odpowiadam.

Dlatego nadal wybrałabym rodzicielstwo. Nie dlatego, że zawsze jest pięknie. Właśnie dlatego. Bo nawet w tych dniach, które nie wyglądają dobrze, widać, że relacja rośnie. Że człowiek uczy się, jak żyć głębiej, niż planował. I że mimo zmęczenia, mimo winy, mimo chaosu, da się odnaleźć w tym miejsce na sens, który nie wymaga idealnych warunków.